

Zimowe królestwo

Philip Larkin

Zimowe królestwo

Przełożył Jacek Dehnel

Biuro Literackie • Stronie Śląskie 2017

PROZA 46

Philip Larkin: *Zimowe królestwo*

PRZEKŁAD • Jacek Dehnel

REDAKCJA I KOREKTA • Joanna Mueller

OBRAZ NA OKŁADCE • L.S. Lowry „W drodze do pracy”

OPRACOWANIE GRAFICZNE • Artur Burszta

SKŁAD • Mateusz Martyn

DRUK I OPRAWA • PASAŻ Kraków

Original title: *A Girl in Winter*

Copyright © Philip Larkin, 1947

First published in 1947 by Faber and Faber Limited

Copyright © by Jacek Dehnel, 2017

Copyright © by Biuro Literackie, 2017

BIURO LITERACKIE

poczta@biuroliterackie.pl

www.biuroliterackie.pl

ISBN 978-83-65125-70-5



Projekt współfinansowany
w ramach programu Unii Europejskiej
„Kreatywna Europa”

Dla Bruce'a Montgomery'ego

CZĘŚĆ PIERWSZA

1.

Nocą śnieg już nie padał, ale że mrozy trzymały, to wciąż leżał w zaspach tam, gdzie spadł, i ludzie mówili, że będzie go więcej. A kiedy zrobiło się jaśniej, wydawało się, że mieli rację, bo nie było żadnego słońca, tylko jedna rozległa skorupa chmur ponad polami i lasami. W zestawieniu ze śniegiem niebo wyglądało na brązowe. Zaiste, gdyby nie ten śnieg, poranek przypominałby styczniowy zmrok, bo jeśli było jakieś światło, to zdawało się dobywać właśnie z niego.

Leżał w rowach i w zagłębieniach pól, które chyliły tylko ptaki. Na niektórych ścieżkach wiatr nawiał go równiutko aż po same czubki żywopłotów. Wioski były odcięte, dopóki grupki mężczyzn nie przetarły szlaku przez drogi; robotnicy nie mieli jak dotrzeć do pracy, a na okolicznych lotniskach połowych zawieszono wszystkie loty. Leżący w łóżkach chorzy mogli zobaczyć jego poblask na sufitach swoich pokoi, a szczeniak, który zetknął się z nim po raz pierwszy, zaskowyczał i schował się pod beczką na deszczówkę. Ogrodowe szopy były grubo oprószone od zawietrznej, a ogrodu – zanurzone weń do połowy, jak falochrony; cały pejzaż był tak biały i nieruchomy, że mógłby być akademickim obrazem. Ludziom nie chciało się wstawać. Zbyt długie patrzenie na śnieg wywierało hipnotyczny efekt, wysysając całą moc skupienia, a chłód zdawał się zgniatać kości, zmieniając pracę w nieprzyjemną harówkę. Trzeba było jednak zapalić świece, rozkruszyć lód w kubkach, rozmrozić mleko; trzeba było zapakować mężczyznom śniadania i posłać ich do pracy na budowach. Trzeba było ciągnąć to życie, nieważne jakimi objazdami; nawet

jeśli szło się nie dalej niż do okna, to w domu było mnóstwo roboty, zostawionej na takie właśnie okazje.

Ale poprzez przesieki i wzdłuż nabrzeży szły linie kolejowe, które, choć puste, wiodły na północ i południe, gdzie łączyły się z innymi, mijając działające przez całą noc fabryki i zaplecza domów z przeświecającym po brzegach zasłon blaskiem, aż docierały do miast, gdzie śnieg nikogo nie obchodził, a które mróz oblegać mógł ledwie przez parę dni, zaciekle.

2.

– Co tak pani podśpiewuje? – powiedziała pani Brooks, pociągając nosem. – Zmarłam na kość.

– Cóż, rury są zimne – odparła Katherine. – Jak zawsze zresztą.

– Koszmar. Już ja powiedziałabym to i owo do słuchu temu dozorczy.

– Myślę, że całe to ogrzewanie jest w ogóle za stare, żeby działało.

– Powinni coś z tym zrobić. Pani popatrz, w jakich my warunkach pracujemy. Dwie umywalki! I tylko jedno lustro.

– A i to w plamach.

– Moja zamężna siostra pracuje w biurze – powiedziała pani Brooks z melancholijną zazdrością – i tam grzeją gazem.

– Chciałabym, żeby u nas grzali czymkolwiek.

– Tak, a to jeszcze nie wszystko. Rano, kiedy jest zimno, jak dzisiaj, można sobie zażyczyć filiżankę herbaty. I w dodatku kolejną trochę później. Coś takiego dodaje człowiekowi otuchy, nieprawdaż? A spójrzmy na siebie.

– U Ansteya grzeją gazem. I pewnie tylko to się liczy.

– O wilku mowa – powiedziała pani Brooks ponuro.

Stały przez chwilę przy załadowanym książkami wózku, patrząc na wskroś długiej alejki, wiodącej pomiędzy ukośnie ustawionymi półkami aż do kontuaru. Obie miały na sobie czerwone kombinezony. Wysokie okna były oszronione i choć dochodziła

dopiero za dwadzieścia dziesiąta, oba rzędy wiszących lamp już się paliły.

Pan Anstey, przeszedłszy z łomotem przez bramkę, oparł się o kontuar i, trzymając w dłoni kartkę, mówił coś do panny Feather, uderzając w kartkę cybuchem fajki. Rozczochrana, siwa głowa panny Feather kłoniła się w pełnej szacunku uwadze. Nie zniżył głosu, ale dudniące echo uniemożliwiało im zrozumienie słów.

– Coś pani powiem – ciągnęła pani Brooks – kiedyś namówiłam Feather, żeby poruszyła z nim sprawę herbaty... jeszcze zanim się tu pani pojawiła.

– I co powiedział?

– Wie pani, jaki o n jest. – Pani Brooks wyciągnęła z rękawa chusteczkę i wytarła nos. – Że gdzie się ją będzie przygotowywało, kto ją będzie przygotowywał, gdzie się ją będzie piło, czy pomocnicy biblioteczni będą mieli przerwę na jej wypicie... wszystkiego się łapał. Powiedział, że „nie dostrzega sposobu, w jaki mógłby uczynić zadość naszej prośbie”.

– Jakbym go słyszała – powiedziała Katherine. – Dlaczego on zawsze mówi tak śmiesznie? Nic mnie w nim chyba tak nie drażni, jak to.

– Och, pewnie połknął za młodu słownik – powiedziała pani Brooks z pewną swawolnością – albo taki już się urodził.

Katherine uporała się z segregowaniem książek na górze wózka i zerknęła na panią Brooks:

– Mam wrażenie, że pani się nim naprawdę w ogóle nie przejmuje.

– Cóż, z przejmowania się ludźmi niewiele przychodzi dobrego. A ja nie zamierzam nim się martwić.

– Ciekawe, co tym razem mu nie pasuje.

Głos pana Ansteya, przypominający terkot zębatki, wykłócał się dalej, podczas gdy panna Feather tańczyła przed nim jak liść targany nawałnicą; mieszał się z echemi potęgującymi najdrobniejsze dźwięki: szuranie stóp, stukot linijki, łupnięcia, z którymi pomocnicy sprawnie wsuwali książki na półki. Katherine i pani Brooks rozeszły się w kierunku półek tych działów, którymi

miały obowiązek się zajmować. Wkrótce wszystko było gotowe do rozpoczęcia dnia pracy – książki w równych, nieprzerwanych szeregach, przekręcone kółka na datownikach, rewersy ułożone w schludne stosiki na kontuarze. Zeszły się obie znowu przy specjalnej witrynie poświęconej Japonii.

– A co z pani mitenkami? Nie zamierza ich pani nosić?

– Aż mnie skręca, tak bym chciała. Nie będą się ze mnie śmiali?

– Skądże.

– Jeszcze dziesięć minut i drzwi się nie będą zamykały.

– Cóż, sobota – powiedziała Katherine. – Trzeba się cieszyć, koniec tygodnia.

– A ja się zastanawiałam, czemu pani dziś podśpiewuje – odparła pani Brooks na odchodnym.

Panna Feather, oswobodzona przez pana Ansteya, zaczepiła Katherine w drodze do kontuaru, jakby nie do końca pewna, z kim ma do czynienia.

– Och, panno Lind...

– Tak?

– Och, panno Lind, czy pamięta pani, jak zastępowała w pracy biurowej panią Holloway, kiedy była chora? Kiedy to było dokładnie?

– Myślę, że z tydzień temu.

– Tak... Otóż uniwersytet się skarży, że nie wróciła do nich książka o Ugandzie autorstwa Fieldinga. Pan Anstey właśnie się o nią dopytywał.

Panna Feather była po czterdziestce. Miała przywiedłą, chytrą twarz i zwyczaj konspiracyjnego rozglądania się na wszystkie strony, kiedy coś mówiła, wskutek czego rzadko patrzyła w twarz rozmówcy.

Katherine zmarszczyła czoło.

– O Ugandzie? Fieldinga? Nie przypominam sobie. Oznaczono ją jako zwróconą?

– Tak, oznaczono jako zwróconą, ale mówią, że jej nie mają – powtórzyła panna Feather jak ktoś, kto przez całe lata musiał wszystko powtarzać. Wsunęła ołówek do kieszeni kombinezonu.

– Skoro oznaczono ją jako zwróconą, to z pewnością musiała zostać odesłana – powiedziała Katherine bez przekonania.

– Cóż, mówią, że jej nie mają, więc gdybyś się mogła, kochana, rozejrzeć i jej poszukać...? Może przez pomyłkę odstawiono ją na półkę. I powiedz panu Ansteyowi, jeżeli ją znajdziesz. Te drobiazgi pochłaniają tyle czasu.

– Tak, jeśli tylko ją znajdzie.

Katherine odwróciła się i przeszła do działu afrykańskiego, z prawą ręką wzniesioną, wspartą w łokciu na ręce lewej. I choć nie patrzyła szczególnie uważnie, była to jedna z pierwszych książek, które dostrzegła, wsunięta elegancko na wolne miejsce w szeregu smętnych skórzanych grzbietów. Rzut oka na wewnętrzną stronę okładki ukazał jej etykietę biblioteki uniwersyteckiej. Obróciła tom posępnie w dłoniach, po czym wsunęła pod pachę i wróciła do panny Feather, która rzuciła jej minę udęczonej mądrości.

– Oto i ona, panno Feather.

– Ach, bardzo się cieszę. Mogłaby ją pani w takim razie położyć na biurku panny Holloway? Proszę też powiedzieć panu Ansteyowi, że się znalazła i że zaraz ją odsyłamy.

– Tak, dobrze.

Panny Holloway nie było w jej pokoju – który stanowił raczej coś pomiędzy magazynem nowości, miejscem, gdzie panna Holloway je katalogowała, a działem opracowania – toteż Katherine zostawiła książkę na biurku i poszła dalej, do gabinetu pana Ansteya. Mieścił się on w ciemnym korytarzyku, zakończonym spiralną klatką schodową z żeliwa, prowadzącą na tyły działu informacji. Zapukała do drzwi i po pewnej chwili znajomy głos polecił jej wejść.

Kiedy zamykała drzwi za sobą, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Zresztą – jak niemal zawsze: jej blada twarz o kształcie tarczy, ciemnych brwiach i rzęsach oraz wysokich kościach policzkowych nie była plastyczna ani wymowna. Podobnie, co ciekawe, jej usta, zbyt szerokie i wydatne jak na piękność. Wrażliwe, zawsze w gotowości, powinny przecież być elokwentne. Tymczasem здавало się, że jej wargi są posiniaczone i musi je trzymać dziwnie

zasznurowane. Mimo to na jej twarz zakradał się niekiedy blady wyraz rozbawienia, jakby cieszyło ją, że może całkowicie skrywać swoje myśli. A jeśli już mówiła, to z obcym akcentem.

Pokój był wyjątkowo ciepły, z zawziętym piecykiem gazowym włączonym na cały regulator, tak że języki ognia lizały powietrze. Bliżej stała porcelanowa miseczka z wodą, w której pływał rozmakający niedopałek. Wszędzie panował nieład: wzdłuż ścian, między katalogami kartkowymi a regałami, piętrzyły się książki i pudełka pełne fiszek, z których nie korzystano od miesięcy. Dalej był wewnętrzny krąg podobnych papierzyśk, którymi nie zajmowano się od tygodni, w samym zaś środku stało żaluzjowe biurko, zawalone listami, maszynopisami i katalogami, za którym siedział pan Anstey. Obok dużej puszki z benzyną do zapalniczek stał telefon.

Anstey jak zawsze odgrywał rolę człowieka zbyt zagłębionego w sprawy najwyższej wagi, by zauważyć czyjeś wejście, i trzymał cienką kartkę napisanego na maszynie listu, w którym sprawdzał coś z ołówkiem w ręku, ściskając fajkę w wyszczerzonych groźnie zębach. Co jakiś czas pociągał energicznie zakatarzonym nosem. Był to chudy, pokurczony mężczyzna koło czterdziestki, o wąskiej, pooranej twarzy przysłoniętej cienkimi okularami. Miał na sobie brudnawy garnitur, krawat, który się jej nie podobał, i pulower o rękawach zakrywających mankiety koszuli. Włosy zostały szczerze potraktowane brylantyną, a przez jego twarz co jakiś czas przebiegał tik; przypominał urzędnika kolejowego, który nabawił się w okopach zespołu stresu pourazowego.

Opróżniona filiżanka i spodek stały na półce, w zasięgu ręki.

Katherine czekała naprzeciwko niego, z niesmakiem wpatrując się w pochyloną głowę. Wstał i, jakby w ogóle jej tam nie było, grzebał w aktach, wyraźnie niezadowolony. Dym z jego fajki pachniał słodkavo.

Dopiero zasiadłszy z powrotem za biurkiem, przemówił afektowanie zatroskanym tonem:

- A zatem, panno Lind?
- Książka o Ugandzie się znalazła i zostanie bezzwłocznie odesłana.

Nie dał po sobie poznać, że to usłyszał. Po minucie czy dwóch powiedział tym samym tonem:

– Gdzie była?

– Stała na półce.

Pan Anstey dodał ostatni punkt do listy, złożył ją i wsunął do koperty, naskrobał coś w notesie, powtórzył ten wpis w wymiętoszonym kalendarzyku, by wreszcie powiedzieć:

– A cóż tam robiła?

Wyjął cybuch z ust, chwycił ołówek i zaczął nim wydziabywać popiół, spoglądając na nią oddalonym, drewnianym wzrokiem.

– Obawiam się, że popełniono błąd.

– Pani wybaczy, panno Lind, ale popełniono tu dwa błędy – odparł pan Anstey głosem nagle donośnym i wojowniczym. – Tom nie powinien być zostać oznaczony jako zwrot. To błąd pierwszy. A następnie nie powinien być zostać umieszczony na półkach w wolnym dostępie. Popełniono tu dwa błędy, panno Lind, czy nadąża pani za moją myślą?

– Tak – powiedziała to obojętnym tonem, by nie zwrócić jego uwagi na fakt, że nie zamierza mu niczego ułatwiać. W głębi duszy uzbrajała się w cierpliwość, by stawić czoła temu, co miał powiedzieć, jako że zawsze mówił mniej więcej to samo.

– I żaden z nich, pozwolę sobie zauważyć, nie powinien być zostać popełniony przez kogokolwiek, kto posiada choćby łut tego, co po angielsku nazywamy pomysłem, rozważą czy... *nous** – zakolebał się przed piecykiem gazowym, przykładając do rozpalonych żeberk papierowy zwitek. – A już na pewno nie przez kogoś, kto zaposał wyższe wykształcenie, jakie pani otrzymała... Być może najmłodsza z pomocniczek, choć nie wiem, która to, z głową nabitą melodiami jazzowymi, sympatiami czy ostatnią „produkcją” filmową, czy jak to tam sobie teraz nazywają, byłaby do tego zdolna, ale po pani tego się nie spodziewałem, jako że skłoniono mnie do sądu, że nauczono panią myśleć, i że rzecz tego rodzaju jest, by ująć to bez ogródek, najzwyczajniej

* *Nous* – gr. „intelekt”.

w świecie cholerną głupotą. – Płomyk zbliżał się do jego palców, więc parę razy gwałtownie przyssał się do fajki, po czym upuścił zwęgloną resztkę papierka do miseczki z wodą. Wówczas powrócił do przemawiania właściwym sobie tonem, wypranym z wszelkiej serdeczności czy poczucia humoru, tonem, którego na scenie użyto by jako typowo obraźliwego. – Głęboko w s p ó ł c z u j ę błędów, które mężczyzna czy kobieta popełniają z niedoświadczenia czy też niedostatecznego jakmutam. Są w tym zawodzie pewne rzeczy, które opanować można dopiero po dłuższym czasie, po prostu wykonując je, aż potrafi się przewidzieć każdą ewentualność, która może wyniknąć w biegu... spraw – wysunął groźnie szczękę, jakby Katherine czymś go sprowokowała. – Nie jestem jednym z pani uniwersyteckich koleżków z Cambridge czy Oxfordu, którzy zjawiają się i mówią: „Och, jasne, w pięć minut nauczę się tych wszystkich dyrdymałów”. Widziałem tych chłoptasiów i może mi pani wierzyć, że nie ma z nich pożyteczku, kiedy dochodzi do poważnej robótki. Nie, ja w tym zawodzie przeszedłem wszystkie stopnie kariery – ponownie posłał jej swoje drewniane, odległe spojrzenie, które zdawało się zaciskać jego nozdrza – i ten niewielki stopień poczesności, który uzyskałem, zdobyty został po prostu z n a j o m o ś c i ą mojej pracy na wylot, w tę i nazad, i jak tam jeszcze pani się podoba. – Wetknął ponownie fajkę w wąskie szczęki, ale zdążyła już zgasnąć: tym razem, pociągając nosem, zaczął macać w poszukiwaniu zapalek.

– Cóż, rzecz jasna – podjął, wsysając się łapczywie w obgryziony ustnik – nie mam pojęcia, co zamierza pani zrobić ze swoim życiem, czy zamierza pani pozostać w tym zawodzie, czy nie. Nie wiem ani też, szczerze mówiąc, wiedzieć nie chcę, jest to bowiem kwestia, którą każdy człowiek ma prawo rozważyć i sam o niej zdecydować, ale j e d n o p a n i p o w i e m – jeśli zdecyduje pani: tak, pozostanę w tym zawodzie, będę go zgłębiała i poświęcę moją energię, by obrać tę... karierę, to p r z e k o n a s i ę p a n i – te trzy słowa podkreślił fajką – że łut dobrego zmysłu do i n t e r e s ó w, jakiego trzeba do prowadzenia jakiejkolwiek fabryki czy... interesu, wart będzie całego pani Szekspira i doktora Samuela

Johnsona i kogotamjeszcze. Rzecz jasna – zmienił ton na właściwy łaskawym wyjaśnieniom – nie zamierzam opowiadać pani bredni w rodzaju, że taka wiedza nie posiada nieoszacowanej wartości, próbuję jednak wyjaśnić, że może raz na rok wpadnie koleżka, który powie: „Och, panie Anstey, niech pan posłucha, chciałbym się dowiedzieć wszystkiego o dramacie elżbietańskim” albo o jakiejś mało znanej gałęzi fonologii czy morfologii, czy z czym tam jeszcze jest pani akurat obeznana, wtedy proszę bardzo, może się pani popisywać swoim wykształceniem. Ale przez dziewięć dziesiątych czasu, przez dziewięćdziesiąt dziewięć SETNYCH czasu trzeba po prostu piastować stanowisko zwykłego przełożonego biura, który zajmuje się książkami, a nie na przykład domami czy wózkami dziecięcymi, i tak dalej, i tak dalej. – Pan Anstey dźgnął ołówkiem swą ponownie zgasłą fajkę i tym razem wyjął tanią, palącą się dużym płomieniem zapalniczkę. – A zatem zaczęła pani tu pracować z bardzo dobrym, wartościowym wykształceniem, o kilka długości lepszym niż to, które sam otrzymałem, i nie mniej wartościowym dlatego, że uzyskała je pani w innym kraju, jako że wiedza ludzka jest taka sama w Anglii, Francji, Niemczech i we wszelkich innych zakątkach bożego świata – tu wydał z siebie krótki śmiech. – Jednakże, jak pani mówię czy raczej sugeruję, jeśli w swoim czasie osiągnie pani stanowisko porównywalne z moim, to zauważy pani, że trzy czwarte pani czasu zajmuje pilnowanie i robienie porządku po jakiejś postrzelonej dziewczusze, która myśli, że zapakowała książkę i posłała ją do Wigan albo do Timbaktu, choć wszystko, co zrobiła w istocie, to postawiła ją na półce, gdzie w ogóle nie powinna się znaleźć – zaśmiał się ponownie i zaciągnął się fajką, otaczając głowę błękitnym, słodkawym dymem.

Katherine patrzyła na niego, jakby był owadem, którego najchętniej by rozdeptała.

– Przepraszam za błąd – powiedziała gniewnie – nie sędzę jednak, żeby...

– Dobrze, dobrze, panno Lind, na tym właśnie musimy spędzać czas – pan Anstey przerwał jej w połowie. Usiadł w brzydkiej pozie

i smętnie klapnął się po udzie, wyszczerzając na nią swoją rozciągniętą na boki twarz – na martwieniu się błahymi szczegółikami, które za sześć tygodni nic nie będą znaczyły ani dla pani, ani dla mnie, ani dla nikogo innego, podczas gdy naprawdę istotne rzeczy muszą czekać – wykonał teatralny gest zrezygnowania. Było to kolejne z jego przedstawień: rola człowieka, który jest zmuszony marnować czas na sprawy uwłaczające jego inteligencji. – Mam w tej szufladzie od czterech lat pracę, oryginalną i może nawet cenną pracę o klasyfikacji, czekającą, aż trafi mi się wolny tydzień czy dwa... Cóż, nie wystarczy na chwilę przerwać i pomyśleć. O, do szaleństwa droga ta prowadzi*, jak powiada ten jakmutam. Wszystko, co mogę zrobić, i wszystko, co pani może zrobić, to zabrać się porządnie do roboty. To...

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła panna Feather, rozglądając się dokoła, jakby spodziewała się, że w pokoju są więcej niż dwie osoby. Pan Anstey po raz kolejny przybrał swoją zdystansowaną minę, mówiąc zatroskanym głosem:

– Tak, o co chodzi, panno Feather?

– Obawiam się, że jedna z naszych młodszych pomocniczek źle się czuje, proszę pana. Nie nadaje się do pracy.

– A któż to taki, panno Feather? – to była trzecia jego melodia: sędziowskie skupienie, by poznać wszystkie aspekty danej sprawy.

– Panna Green. Naprawdę wygląda na bardzo chorą.

– Co jej dolega? – warknął. – Czy słabuje na coś, na gripę czy na odrę, czy...

– Ból zęba, chce pójść do domu. Myślę, że można ją puścić. Prawdę mówiąc, i tak nie będzie z niej zbyt wiele pożytku.

– Pójść do domu! Do dentysty powinna pójść – powiedział pan Anstey pogardliwie, jakby wykrył w tym jakiś fortel.

– Sądzę, że to robi, jeśli tylko pozwolimy jej pójść do domu – panna Feather, jako jedyna może pośród pracowników, umiała zmusić pana Ansteya do trzymania się meritum sprawy; rzuciła

* W. Shakespeare, *Król Lear*, akt III, scena IV.

uległe, sugestywne uwagi, delikatnie kierujące go z powrotem na ścieżkę, którą miał podążać.

– Gdzie ona mieszka? Czy jej matka ma telefon? – Sięgnął po książkę telefoniczną, by, nie zwróciwszy uwagi na przeczącą odpowiedź panny Feather, przekonać się, że faktycznie go nie ma.

– To dość daleko – powiedziała panna Feather – i zastanawiam się, czy nie lepiej by było kogoś z nią posłać. Bardzo prawdopodobne, że straci przytomność.

– Może w ogóle posłać ją na wakacje raz na zawsze? – przytaknął pan Anstey, piejąc histerycznym śmiechem. – Sam z nią pójdę, jeśli oznacza to wolny ranek!

Nikt inny się nie zaśmiał.

– Myślę, że najlepiej byłoby kogoś z nią posłać – powtórzyła panna Feather, skrycie zerkając na zegar stojący na kominku. Pan Anstey, chichocząc jowialnie, ponownie wetknął fajkę do ust i wrócił do swoich papierów.

– Tak, dobrze już, dobrze – powiedział z pobłażliwą niecierpliwością, jakby obie tylko marnowały jego czas. – Niech pani kogoś z nią pośle. Wszystko mi jedno, kogo. Niech pani pośle kogoś, ha ha, kogo chętnie by się pani pozbyła na godzinkę czy dwie.

Zostawiły go zanurzonego w niewzruszonym poczuciu, że wszystko zależy od niego, i że, pomimo przytłaczającego brzemienia spraw, potrafi zająć się należycie każdym drobiazgiem.

Kiedy już wyszły, panna Feather zapytała:

– Może p a n i zgodziłaby się pójść, panno Lind?

